
AŚ

idzie...

Kraków 1936

2538401

140168

Wiktoria Orszel

WIKTORIA ORSZEL

AŚ IDZIE...

OPOWIADANIA Z ŻYCIA DZIECI

W WIDOK PRZEDSZKOLNYM

AŚ IDZIE...

WYDAŁO WARSZAWA

WYDAŁO WARSZAWA WYDAWNICTWO

DRUK W. L. ANTONI I SÓŁKA I SĄSIEDZI

Handwritten text at the top of the page, likely bleed-through from the reverse side.

18 INDEX

Wydawnictwo

WIKTORJA HESSEL

AŚ IDZIE...

OPOWIADANIA Z ŻYCIA DZIECI

W WIEKU PRZEDSZKOLNYM

KRAKÓW MCMXXXVI

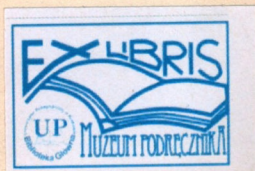
SKŁAD GŁÓWNY GEBETHNER I WOLFF

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE

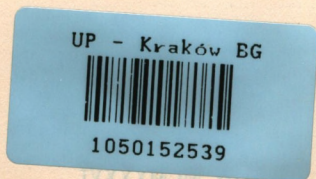
WIKTORIA HESSEL

AS IDZIE...

OPOWIADANIA Z ŻYCIA DZIECI



M 42094/1



SKŁAD GŁÓWNY CIEBITHEN I WOLFF
PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE

2012 D. 148-2
BG. UP

11/

Aś się boi. Błękitne oczka patrzą lękliwie ze skrzywionej od płaczu buzi. Aś się boi... mówi drżącym głosem i chowa lnianą główkę na kolanach mamulki.

Aś ma rok i cztery miesiące. Boi się, bo do małego domku przyszła nieznana pani. Pani uśmiecha się do Asia. Ale główka podniesiona na chwilę z kolan mamulki, opada na nie gwałtownie i wibrujący krzykiem głos dziecka wymawia wyraźnie:

— Nie znam, boi się, boi!

W świecie Asia byli dotychczas mamulka i tatuś — lambi i niania. A Aś był pośrodku nich i zabawki były także. I wszystko było Asiem i mamulka i lambi, no i niania i było ciepło jasno i spokojnie.

Aś się śmieje — i wszystko się śmieje z Asiem, Aś śpi — i cały świat śpi. A teraz przyszła nowa pani. Mówią, że ciocia. — Nie znam — mówi Aś i płacze, płacze. Świat się zmienił, stał się inny, większy o jedną osobę i to boli Asia. Coś nowego, nieznanego wtargnęło i wyciąga do niego rękę. Nie! Nie! zanoszą się dziecko płaczem, tak, że muszą je wynieść z pokoju.

A w pokoju Asia świat jest znowu dawny i mały. Są te same ciche zabawki i mamulka z nianią. Uci-

cha płacz dziecka. Wszystko jest tu spokojne, aksami-
tny krasnoludek miękki, miły i znany. Aś chwyta
go kurczowo do ręki i przytula do siebie. I już jest
cicho. Niebieskie oczka jaśnieją i białe prawie lni-
ane włoski, podnoszą się jasną falą nad pogodną twa-
rzą. Aś się już śmieje. Kurczy nosek i śmieje
się rozgłośnie — i wszystko się śmieje z Asem.
I niania, i krasnoludki, i miś, i łóżeczko, i ściany,
wszystko się śmieje, bez powodu cieszy się życiem.

Ale w małej główce powstał niepokój. Tam
w drugim pokoju jest coś nieznanego, coś, czego się
boi.

Tam się boi, a tutaj cicho, dobrze i bezpiecznie.
Aś wie o tem, ale... ale musi iść tam do dru-
giego pokoju, gdzie będzie płakał, ale musi iść w to
nieznane, obce i może groźne. Musi!

Podpełza pod drzwi drugiego pokoju i wyraź-
nym, upartym głosem mówi do niani:

— Otwórz! Aś idzie!... Idzie Aś...

WSZYSCY w domu są więksi, dużo więksi od Asia. Aś musi wysoko podnosić główkę, gdy mówi do nich. Dlatego mówi z całej siły, jak tylko może najgłośniej, żeby jego głos doszedł aż do nich i żeby go musieli słyszeć.

Ludzie są więksi od Asia i rzeczy też. Widzi na stole różowe pudełko i chce je dostać, ale nie może. Ciągnie serwetę i wszystko spada na ziemię.

— Asiu zostaw to, Asiu nie można, nie ruszaj. Boże, co to za dziecko niespokojne!

A mały człowieczek w długich do kostek spodniach, kręci się wszędzie i próbuje swoich własnych sił w tym świecie mocnych i dorosłych ludzi. Ciocia naciska guziczek na ścianie i w pokoju robi się jasno. I Aś musi tak zrobić, dużo razy musi tak zrobić.

— Ależ Asiu, nie można, popsujesz światło i będzie ciemno.

— No, podnieś ciocia — mówi z uporem — podnieś! — gniewa się wyraźnie. I ciocia ucieka się do wybiegu, przykłęka i chce podnieść Asia. Obu rękami ujęła go pod uprzejmie wyciągnięte i chętne ramiona, ale nie może go podnieść, absolutnie nie może, próbuje raz jeszcze i nie...

— Oh — narzeka — taki ciężki chłopiec, oh, nie mogę.

Aś z uwagą czeka i śledzi wysiłki cioci. Zapomniał już o guziczku na ścianie. Dorosły, mocny człowiek nie może go podnieść. Patrzy z uśmiechniętą dumą w twarzy.

— Ciężki chłopiec... — powtarza radośnie.

HELA położyła się do łóżka, ale nie może zasnąć. Jest jakaś podniecona i rozgrymaszona. Wreszcie rozplakała się nadobrze. Koło łóżka siada babcia, a i dziadek jest blisko. Hela uspakaja się i leży cicho. Śpi, czy nie śpi? Babcia pochyła się nad łóżkiem. Ale siwe oczy patrzą jasno na białą głowę babci.

Teraz Hela myśli już głośno i mówi do babci o piekle.

— A tam w piekle źli się smażą i chłopcy i dziewczynki. Trzepią zębami, prawda babciu?

— Zgrzytają zębami, mówi babcia.

— Tam jest gorąco, bo jest ogień. Najpierw palą się ludziom włosy, potem ręce i nogi, potem brzuch, a naostatku głowa.

— Nie, Helusiu, mówi babcia. Oni tam się nie palą, tylko są w ogniu i cierpią strasznie.

— Cierpią strasznie, powtarza Hela. A którą do tego piekła się wchodzi?

— Nie wiem, mówi dziadek. Tego nikt nie wie.

Ale myśli dziecka nie mogą długo zatrzymać się przy jednym i do tego smutnym temacie. Same mądrze i przezornie odbiegają w jasną krainę szczęścia.

— Dziadku, a czy słońce idzie spać do nieba?

— Nie, skądże!

— A dlaczego raz jest noc a raz dzień?

— Bo ziemia się obraca koło słońca i raz jest słońce z jednej strony i mamy noc, a raz z drugiej i mamy dzień.

— Dziadku, a jak oni to robią, jak wychodzi z nieba św. Mikołaj i aniołki, to oni mają w niebie drzewi?

— Hm, hm, chrząka kłopotliwie dziadek. Ale Helenka nie czeka na odpowiedź, jest już coraz bardziej śpiąca.

— A w niebie to jest wesoło, nie tak jak w piekle. Dzieci mają dużo ładnych zabawek... kwiatów... i aniołki są w niebie... prawda babciu? — Mówi już niewyraźnie i coraz ciszej.

ALINKA trzęsie się cała, czarna główka chowa się między podniesione ramiona, a oczy zamknęły się ze strachu przed podniesioną ręką, która zaraz spadnie i uderzy ją w plecy. Już spadła raz drugi i trzeci i więcej razy. Alinka krzyczy przeraźliwym głosem: Nie, nie i nie!

Nie żeby tak bardzo bolały te klapsy, tylko ona, Anulka, wtenczas jak ją biją, gubi się cała w ciemnej otchłani brzydkiego smutku. Zapada gdzieś w dół głową i leci niżej i niżej bez ratunku.

I jest wtenczas sama, samiutka jedna w czarnym smutnym dole. Niema ani mamusi, którą przecież kocha, ani tatusia...

— Dlaczego wybiegasz na ulicę, do tamtych dzieci, kiedy tego nie wolno, nie wiesz o tem!? — Gdzieś zgóry daleko odzywa się głos mamusi.

Alinka wie o tem, ale gdy zobaczy przez okno dzieci, to już nie może usiedzieć sama w pokoju, nawet ze swoją lalką i zapomina o tem, że nie wolno, i o klapsach.

Ma już teraz przeszło pięć lat i coraz bardziej przykrzy jej się bawić samej i nawet rysować.

A teraz stoi w kącie za piecem i płacze, bo tak nie lubi tego bicia.

— No, Alinko, przeproś już mamusię i powiedz, że nie będziesz więcej... — Ale Alinka nie wychodzi ze swojego kąta. Płacze jeszcze głośniej. Przytuliła się do ściany i nie słyszy głosu mamusi, nie chce słyszeć...

— Alinko, przeproś!...

Dawniej Alinka przepraszała i mówiła, że już nie będzie więcej...

Ale dzisiaj już nie przeprosi.

— Chodź tutaj, Alinko.

Wychodzi z za pieca. Czarna główka najpierw jakby na zwiady. Wystraszone i zapłakane oczy patrzą lękliwie, ale ze stanowczym połyskiem uporu.

— Przeproś!

Jeszcze dwa, trzy dni temu, Alinka w takich razach zarzucała rączki na szyję mamusi i mówiła posłusznie: Przepraszam!

Ale dzisiaj już nie powie...

Mamusia patrzy groźnie i mówi już gniewnym głosem:

— No, przeprosisz!?

Alinka wie o tem, że jeżeli nie przeprosi, to ręka znowu podniesie się do góry i spadnie na jej plecy. A ona cała, ręce i nogi zagubią się w czarnej krainie lęku.

Ale, żeby nie wiem jak bili, już nie przeprosi.

— Nie przeprosisz!?

— Nie przeproszę! Nie!...

OLGA długimi nogami odbija się od podłogi, tak, że kołyska, wpoprzek której siedzi, kołysze się dość ryzykownie dla śpiącego w niej dziecka. Kazano Oldze uśpić tę małą czarną siostrę, uśpić i przypilnować i posłuszna dziewczynka spełnia to polecenie, chociaż wolałaby wyjść z ciemnego pokoju, w którego każdym kącie stoi przyczajony jak do skoku smutek. Jeden i ten sam, chociaż w czterech kątach osobno stojący.

Olga obawia się, że lada chwila wyjdzie równocześnie ze wszystkich kątów i zacznie ją, małą i bezsilną, straszyć. Siostrzyczka w kołysce śpi już dawno, ale Olga nie przestaje ciągle jeszcze śpiewać piosenek, które mają pomagać do szybkiego zaśnięcia. Siedzi wpoprzek na chyboczącej się kołysce i śpiewa półgłosem. Teraz o cesarzu, co siedział na tronie i rozmyślał o wojnie.

Olga wolałaby wybiec do ogrodu i skakać tam po nakreślonych kredą znakach wślad za rzuconym naprzód kamykiem. Pewnie Hela już tam czeka, ale nie wolno jej odejść od tej uśpionej siostrzyczki. Tam w ogrodzie nie potrzeba smutku odganiać piosenkami. Smutek boi się słońca i powietrza, woli

siedzieć w ciemnym pokoju. Ta mała siostrzyczka trudno zasypia, krzyczy często żałośnie i wrzaskliwie. Olga cieszy się z tego, że zasnęła nareszcie. Teraz piosenka o Jasiu, co na białym koniu wywija na błoniach za Krakowem.

Kasia obecnie pracuje w ogrodzie i nie ma czasu zajmować się dzieckiem, ale Olga już nie może dłużej swojemi piosenkami odganiać smutku. Słyszy go wyraźnie, jak powolnemi krokami wychodzi na środek pokoju. Mała siostrzyczka śpi tak cicho, że Olga obawia się, czy nie umarła. Kłęka przy kołysce i dmucha delikatnie w zamknięte powieki. Ale te mocno leżą na oczach i nie chcą podnieść się od tak słabego powiewu. Powieki są prawie sine i pewnie mała siostra już umarła. — Smutek coraz śmielej idzie naprzód aż do samej kołyski.

Olga czuje go już za plecami.

Tak chciałaby, żeby tu był ktoś starszy, przy niej, ktoś, któryby go mógł odegnąć.

Pewnie umarła, tak cicho! — Nie można jednak na to pozwolić w żadnym razie. Olga ostrożnie podnosi palcem opuszczone na oczach dziecka powieki. Pokazują się czarne jak tarnina oczy, do których przenika gwałtownie sygnał światła.

Sygnał ten błyskawicznie idzie dalej, porusza drgnieniem usta i zaciśnięte piąstki. Podniesione powieki już nie chcą opaść same zpowrotem. Czarne

oczy nabierają połysku życia, usta rozchylają się gwałtownie i wyrzucają zrodzony w krtani krzyk. Ostry, gwałtowny, przenikliwy. Czarna siostrzyczka udowodniła, że żyje i że ma wymagania od życia.

Olga przerażona zamyka dłonią swoje milczące usta. Okropny jest ten krzyk. Ale i smutek znowu przepadł ze środka pokoju do kątów.

W całym pokoju króluje jedynie głos rozbudzonego ze snu dziecka.

JUREK jakiś podniecony przyszedł do przedszkola.

Zazwyczaj dosyć grzeczny i spokojny, dzisiaj zdaje się, że jest przepełniony nową, nieznaną energią. Już w przedpokoju, przy rozbieraniu go przez mamusię z płaszczyka i przy zmianie bucików na pantofle, wyrywa się z rąk mamusi i mówi: Ja sam się ubiorę, mamusiu, ja sam!

Na przywitanie uderzył Włodzia w ramię: Dzień dobry Włodek!

Dzisiaj wie, że jest mocny i wesoły i że nikogo się nie boi.

— Sam sobie pan jestem — myśli Jurek. — Silny jestem i chcę się bić z wami.

Zaraz na wstępie nasypał Lesiowi piasku za kołnierz. Oburzony Lesio krzyczy za nim: Głupi! o głupi! Ale to nie obraża Jurka. Skacze wesoło raz, dwa i trzy, Zbyszek także skacze raz, dwa i trzy... Jurek chwyta go za nogę i obaj upadają, tłukąc się boleśnie.

Ale cóż to szkodzi, nie warto nawet na to zwracać uwagi, tutaj w przedszkolu.

O, Włodek ciągnie za sobą lejce. Jurek chwyta

ich końce i Włodek wlecze go za sobą przez całą salę. Wio! koniu. Wio!

Zobaczył, że Nusia bawi się cymbałkami. Bum, bum, bum — wydzwania jakąś delikatną melodję, uderzając powoli pałeczką. Bum, bum, bum — ci-chutko śpiewają cymbałki.

— To moje! — wrzeszczy Jurek i porywa cymbałki. Nusia nie broni się zupełnie, nawet nie mówi. Chłopcy są tacy silni i niegrzeczni...

A ona przecież płakać nie będzie, o nie... Podniesioną pałeczkę kładzie na stoliku i odchodzi... odchodzi do pokoju lalek.

Lecz co to? Jurek z cymbałkami w rękach stoi zawstydzony i nie wie, co robić...

— Weź sobie je, Nusia! — woła za odchodzącą dziewczynką. — No, Nusia!

WŁADZIO odbija od innych dzieci w przedszkolu. Za wysoki na swoje pięć lat, szczupły i lekko pochylony, z głową ostrzyżoną do samej skóry.

Odbija zwłaszcza ubraniem. Szary, niezgrabny sweter zasłania całą szyję i uwydatnia pochylone plecy. Inne dzieci są ładniej ubrane od niego i są dużo zgrabniejsze.

On jest lękliwy i uprzejmy. Wygląda bardzo mizernie. Nosek ma mały, spiczasty i stale zaczerwieniony. Uśmiecha się ciągle.

Lubi się bawić z dziećmi i one z nim także. Umówili się z Lesiem, że będą się wozić na koniu, najpierw jeden będzie ciągnął jeźdźca i konia, a potem drugi.

Władzio tak długo ciągnął, aż poczerwieniał ze zmęczenia. A Lesiowi się już znudziła ta zabawa i powiedział: Chodźmy budować samoloty. — I poszli.

Tylko nie lubi się bić z dziećmi i nie skarży nigdy. Nawet silnie uderzony, nie skarży.

Ale dzisiaj Władek jest inny niż zwykle. Ma trąbkę... Gra na niej głośno: tra ta ta ta... A chłopcy

patrzą na niego z zachwytem i chcą chociaż troszeczkę pograć. Ale on nie wypuszcza z rąk trąbki.

Jak się podmucha w nią trochę, to słysząc głos daleko... To jego tak słysząc... Teraz on jest najważniejszy...

Tra... ta ta ta...

Bo w trąbce mieści się cała radość i ochota. Taka mocna ochota do życia... bez walki... Władek walki nie lubi. Ale jest wesoły i trąbka jest wesoła...

Tra... ta ta ta...

Słysząc aż w drugim pokoju.

Koledzy proszą o trąbkę. Ale nie, trąbka jest jego własnością i on sam chce dzisiaj grać, głośno grać...

A pani przecież nie pozwoliła grać dzieciom na trąbce.

Dlaczego?

Bo wszyscy chcecie grać i trąbka wędruje do każdej buzi, a to niezdrowo...

I Władzio sam chowa ją do szafy. Podsunął krzesło i chowa wysoko.

Dzieci odchodzą do budującego się z klocków auta.

Władzio nie nosi klocków, stoi i spogląda na szafę.

Żeby tak jeszcze troszeczkę pograć, tutaj między dziećmi... nie w domu...

Z WRAŻLIWEJ twarzyczki Jasia spoglądają pełne wyrazu oczy. Bardzo kocha swoją mamusię, która prawie cały dzień spędza z nim razem. Gospodarstwem zajmuje się babcia i służąca, a mamusia siedzi w pokoju i wyszywa serwetkę. U stóp jej na ziemi bawi się jej jedyny synek i ciągle zwraca się do niej z pytaniami. Mamusia ma zawsze na ustach pogodny uśmiech i zawsze na pytania Jasia odpowiada łagodnym głosem.

Kiedy czasami Jaś jest trochę niegrzeczny, wystarczy, żeby mamusia powiedziała, że widocznie jej nie kocha, kiedy tak źle postępuje. Wówczas w oczach Jasia pokazują się łzy żalu, obejmuje mamusię za szyję i mówi:

— Moja, moja kochana, już będę grzeczny.

— — — — —

W przedszkolu długi czas nie mógł oswoić się z dziećmi. Żegnał się prawie rozpaczliwie z mamusią i siadał osobno, zdala od dzieci, bawiąc się samotnie klockami lub piaskiem.

Dzieciom podobał się bardzo. Miał taką ładną twarzyczkę i błękitne ubranko, przytem był zręczny.

Podczas ćwiczeń ruchowych, do których udało się go częściowo nakłonić, wykonał kilka ślicznych rytmicznych ruchów, za które dzieci obdarzyły go oklaskami. Ale to tylko jeszcze wzmogło jego nieśmiałość. Podchodzi do pani i pyta się, kiedy mamusia już przyjdzie.

W oczach ma lęk i bezradność. Czuje się opuszczonym i słabym, hałaśliwy rozgwar przedszkola przeraża go niemal. Skurczył się cały w sobie i czuje jakąś nieprzewyciężoną zaporę, która oddziela go od innych dzieci. Pozbawiony towarzystwa matki, czuje się jak powój bez podparcia, nawet fizycznie pochylił się naprzód i siedząc na wysokiem krześle, głową dotyka prawie kolan.

Zbliża się do niego pani i podaje mu rękę. Pani... to ktoś podobny do mamusi, ma także taką ciepłą rękę, jak ona i uśmiecha się do niego. Jaś idzie z panią po sali i zbliża się do dzieci. Chociaż zaporą w nim samym tkwi jeszcze, ręka pani pozwala mu jednak zapomnieć chwilowo o lęku i w oczach pojawiają mu się nawet migotliwe iskierki śmiechu.

Ale pani musi zająć się także innemi dziećmi i prowadzić wspólne zabawy.

Namawia także do nich Jasia. Ale nie, nie, on już woli siedzieć tam na krześle zdaleka. Czuje się zagubionym w tym ogólnym chaosie, jaki tworzą ruchliwe postacie dzieci i ich krzykliwe głosy.

Niema mamusi i niema Jasia. Na krześle siedzi jakaś wrażliwa osóbką, która tylko czuje silne, za silne podniety i przyjmuje je bezbronn timer, kurcząc się cała w sobie...

Nareszcie drzwi się otwierają i mamusia przychodzi po synka. Jaś zrywa się i pędzi do niej:

— O mamó! mamó!

— Może nie chcesz chodzić do przedszkola?

Jaś nic nie odpowiada, ale na drugi dzień pyta się lęklwym głosem mamusi:

— Kiedy pójdziemy do dzieci?

...Aż wreszcie do przedszkola przyszedł jeszcze inny nowy chłopczyk.

Ten także boi się dzieci i siedzi na krzeselku obok Jasia... Co? płacze?

No tak, bo jest młodszy od Jasia, ma dopiero cztery lata, a Jaś już sześć.

Jaś zapomina o sobie. Nie może patrzeć na płacz tego kolegi. Łzy pojawiają się i w jego wyrazistych oczach.

— Proszę pani, on płacze — mówi załamanym głosem.

— No to bawcie się razem.

I Jaś prowadzi młodszeo kolegę do kąta, w którym znajduje się pokój dla lalek. Ten kąt dawno go już nęcił, ale sam nie byłby się do niego zbliżył, teraz siadają obaj na stopniu i zaczynają przesuwac krzesła i stoliki w pokoju lalek.

Należy w nim zrobić porządek, ustawić inaczej łóżko i lalki posadzić na krzesłach. Chłopcy zapomnieli o swoim lęku. Odnaleźli się na nowo w zabawie. Ha! ha! ha! jak ten miś śmiesznie upadł na kolana...

Śmiech i radość zabijają lęk i obawy obu chłopców. Już teraz pozwalają zaprowadzić się do innych, bawiących się wspólnie dzieci. Jaś ciągle trzyma za rękę młodszego kolegę, którym, jak uważa, powinien się opiekować.

DO PRZEDSZKOLA przychodzą często panienki, które bawią się razem z dziećmi. Panienki urządzają dzieciom różne niespodzianki, robią dla nich zabawki i szyją im piękne stroje z kolorowej bibuły. A raz przyszedł do przedszkola św. Mikołaj z aniołkami. Aniołków było dużo, bo i one chciały zobaczyć dzieci w przedszkolu. Św. Mikołaj rozdawał dzieciom podarunki, które mu podawały aniołki, głaskał dzieci po główkach i pytał się ich czy były grzeczne.

— Tak — mówiły dzieci, a czasem nic nie odpowiadały, tylko patrzyły się na panią. Ale św. Mikołaj nie bardzo się dopytywał, tylko wszystkie dzieci jednako chwalił i mówił im, żeby się modliły do Bozi.

Jeszcze na drugi dzień dzieci opowiadały ciągle o św. Mikołaju i o tem, co któremu z nich przyniósł.

— A mnie przyniósł laleczkę i szafkę — i stolik — i wózek — czapkę i czekoladkę, — wykrzykuje jednym tchem Dorotka.

Ale kilkoro dzieci starszych rozmawia tylko o św. Mikołaju i o aniołkach. Prawdziwy czy nieprawdziwy św. Mikołaj.

Tak chciałyby dzieci, żeby był prawdziwy! taki z nieba! Chciałyby zatrzymać się jeszcze chociaż na krótko, w tęczowym świecie baśni.

Basia potrząsa czarnymi lokami i marszczy czoło,

— To nie były prawdziwe aniołki — twierdzi przekonywująco — tylko panienki przebrane, bo ja je poznałam, tylko jeden święty Mikołaj był prawdziwy, ale on musiał iść długo z nieba na ziemię, prawda?

Janusz, bardziej marzycielski, ob staje przy prawdziwości aniołków.

— Te aniołki były prawdziwe, tylko były podobne do panienek.

Ale despotyczna i praktyczna Lusja rozstrzyga hałaśliwie:

— Nie, aniołki nie były prawdziwe, tylko św. Mikołaj był trochę prawdziwy i już.

Trochę prawdziwy. Wszystko da się wytłumaczyć i rozstrzygnąć przez dzieci.

IRENKA wyglądała znakomicie, rosła i hoża. Tylko trochę zanadto dobrze odżywiona, dlatego jest za gruba i nieco niezgrabna. Jest jedynaczką i w domu wszyscy podziwiają bystrość jej umysłu, dowcip i zabawy. Mama i służąca ubierają ją i rozbierają, a jedzenie to omal nie wkładają jej do ust.

Gdy przyszła do przedszkola poczuła się onieśmielona. Dzieci było dużo i nikt na nią nie zwracał specjalnej uwagi. Przy ustawianiu się parami, nawet nie mogła znaleźć sobie towarzyszki, któraby z nią chciała iść razem. Inne dziewczynki znały się już dawniej i wołały iść ze sobą niż z obcą dziewczynką. Przytem dzieci, a zwłaszcza chłopcy, odsuwali ją aż na sam koniec szeregu. Wreszcie pani wyznaczyła jej jakąś towarzyszkę. — Przy wycinaniu kwiatów z papieru lub przy lepieniu figurek z gliny Irenka okazała się niezręczną i dzieci śmiały się z niej.

Niewiele chodziło jej o uznanie jej przez inne dzieci, tylko martwiło ją naśmiewanie się z niej Zbyszka. Podczas pierwszych dni pobytu swojego w przedszkolu Irenka nieraz chciała zawrzeć z nim znajomość. Podbiegała prędko i stawiała obok niego

w szeregu lub przysuwała swoje krzeselko do jego stołu.

Ale przekorny chłopiec unikał jej zawsze. On nie bawi się z dziewczynkami, do tego z taką niezgrabną Irenką. — Niebieskie i pełne humoru oczy Irenki posepniały na chwilę.

Dzieci idą pojedynczo na paluszkach po odwróconej ławce. Irenka idzie nazbyt niepewnie i ostrożnie. Ha! ha! ha! śmieją się chłopcy, a Zbyszek aż na ziemię przewraca się z uciechy.

Razu pewnego pani poleciła dzieciom wychodzenie po pochyłej desce do góry, a potem jazdę z niej na dół, jak na saneczkach. Zaproponowała przytem, że które z dzieci potrafi, niech wyjdzie po desce w pozycji stojącej, «na nogach», a które nie, to niech idzie na czworakach.

Wychodzić po pochyłej śliskiej desce to trudno i dzieci namyślały się trochę. Pierwszy zgłosił się Zbyszek. Wyszedł powoli, cały czerwony ze wzruszenia, a potem zjechał na dół, pokrywając swoje wzruszenie śmiechem i komicznymi ruchami.

Po nim zgłosiła się Irenka.

— Co Irena?! Nie potrafisz! Ha! ha! ha! Patrzcie Irena!

A Irenka wychodzi na górę. Powoli, ale wychodzi. Pani chce jej rękę podać, bo przecież to trudne wyjście, ale Irenka odsuwa pomoc trzepocącą ręką i piskliwym głosem:

— Nie! nie! Ja sama!

Wszystkie dzieci patrzą na nią i chłopcy już się nie śmieją. No i Irenka wyszła aż na sam wierzchołek ławki i zjechała na dół z podobną jak Zbyszek brawurą.

Dzieci siedzą półkolem na ziemi, chłopcy razem z dziewczynkami. Ale «niby» razem, bo Zbyszek, Janusz, Jędrzek, Wiesio i Kazio tworzą osobną grupkę, najbardziej hałaśliwą.

Irenka wraca do dzieci i szuka sobie wśród nich miejsca na ziemi. I oto...

Zbyszek posuwa się nieco i nawet ręką odpycha Jędrka. Woła na nią:

— Irenka, tutaj jest miejsce, chodź tutaj!

I Irena siada na ziemi obok Zbyszka razem z chłopcami...

ZOSIEŃKA zaczęła dopiero chodzić do przedszkola, ma cztery lata i należy do dzieci młodszych. Zaraz od pierwszego dnia bawiła się dobrze i radośnie, ale teraz coś się zmieniło. Płacze monotonnie i z uporem. Oświadczyła jeszcze w domu, że pójdzie do przedszkola, pójdzie, ale z tatusem. Tataś duży pan, stoi bezradny, ponieważ córeczka nie pozwala mu odejść. Chcesz iść do domu? Nie! Chcesz zostać? Chcę z tatusem... O widzisz, tu są ale, Hania i Basia, a tu miś Jaś. Lale gniewają się na misia, bo... Niech pan teraz ucieka, mówi ukradkiem pani do tatusia, my ją tu zabawimy. Ale Zosieńka po chwili zauważyła ucieczkę tatusia i znowu beczy. Gdzie tataś? Poszedł coś ważnego załatwić i potem wróci — uspokajają dziecko. Chcesz bawić się z dziećmi? Nie, bu, bu, bu. Co się jej stało, tak się chętnie bawiła, martwią się panie z przedszkola. A przy mnie posiedzisz? proponuje jedna z nich. Będziemy się razem przypatrywały jak oni się bawią. Dobrze, zgadza się tym razem Zosieńka. Czarne, niewinne dziecięce oczy utkwiała w gromadce bawiących się dzieci. Pochmurne, obrażone, kobiece

czoło oparła o zaciśnięte piąstki, buzię ułożyła w charakterystyczną podkówkę.

— Dlaczego nie chcesz bawić się z dziećmi? —
Milczenie.

Sfinks czuje i wie całą swoją postacią, nerwami i krwią, ale jeszcze nie głową, nie myślą i słowem i milczy.

— Pewnie Leszek — mówi znacząco jedna pani do drugiej. Zaczynają na nowo indagować, zdaleka, dyplomatycznie, ostrożnie. Kochasz Hanię? Milczące, ale wyraźne schylenie głowy, oczu i obrażonej bródki. «Tak». A Leszka? bada podstępnie pani. Główka energicznie obraca się w stronę okna i przeciwległych drzwi. Nie, mówi głowa, oczy, dwa warokoczyki i zadarty nosek. Czy nie mówiłam? Trymfują oczy pani. Badają dalej. Wiesz Zosieńko, my ciebie kochamy i Janeczkę kochamy, a Leszka mniej kochamy, bo on jest niegrzeczny.

— Niegrzeczny — przemawia nareszcie obrażona podkówka. A potem z najgłębszej krainy małego serduszka wychodzi westchnienie. Zaczyna się nisko i głęboko, a kończy wysoko. Małe tłuste łapki obejmują jasną głowę pani.

Odkryto jej smutek i dano zadośćuczynienie. Mały sfinks trzymany za rękę, skacze odważnie po schodach do góry... A może pójdziesz teraz bawić się z dziećmi, podsuwa chytrze pani. Usiądź koło Stasi, patrz jak ślicznie bawi się klockami. Burza

uspokojona i całą siłą zaczyna świecić słońce radości. Dobrze! Zosienka wyrywa się z objęć opiekunki.

— Ach ten Leszek — żałośnie biada pani. — Biję mi dzieci. Przy każdej sposobności, albo uderzy, albo uszczypnie, taki zbijak, ani niktby nie przypuścił, taką ma niewinną minkę. Rozbójnik jeden. Rozbójnik Leszek, patrzy błękitnie z pod płowej, równo obciętej grzywki. Prosty, o rozdętych nozdrzach nosek i wesoła broda.

He! he! he! śmieje się i w wibrujące centrum swojego światka nie dopuszcza odczucia sprawionych przez siebie kłopotów i trosk. Dzieci bawią się w konie. Obecnie Leszek jest koniem. Woźnica nie może go utrzymać. Nogi w pantofelkach, nie chcą głośno tupać o posadzkę, ale głowa wyrywa się naprzód i pociąga szyję i barki. I ha! ha! z drogi, bo was potratuję... Lubi towarzystwo dzieci i szuka zawsze najliczniejszej gromadki. Zabawie oddaje się głęboko i z przejęciem. Chciałby to przeżycie rozszerzyć i przelać na otoczenie, uzupełnić wszechstronnie swą radość, okazać innym jej siłę i pierwotną uciechę. I Leszek podczas zabawy bije dzieci.

Małe zwierzęta gryzą się, uciekają, napadają na siebie, przewracają, bawią się. Bo w przyszłości będą walczyły. A ludzie...

Pani zapowiada dzieciom bajeczkę. Dzieci radośnie ustawiają swoje krzeselka około niej. Leszek

chce być blisko, energicznie wysuwa swoje krzesło. On tak lubi bajeczki, które pani opowiada, raz cichutkim, to znowu podniesionym głosem. Bardzo się cieszy czekając na bajeczkę i prędkim, błyskawicznym ruchem szczypie Basię i uderza Jurka.

Dzieci spacerują wokoło sali w takt muzyki. Idą sznureczkiem jedno za drugim, rytmicznie posuwają nóżkami, idą rozchodzą się, zbliżają, wracają. Leszek już porozdzielał uderzenia przed sobą i za sobą, a teraz usiłuje rozszerzyć swą działalność na mijające go przy zakrętach dzieci.

Leszku bądź grzeczny! Leszku nie wolno bić! Bezsilnie padają słowa na beztrosko obojętne czoło Leszka. Leszku dosyć! Tym razem pani odprowadza Leszka za rękę na bok. Widzisz, jesteś niegrzeczny, bijesz dzieci, nie umiesz się z nimi bawić, będziesz bawił się sam, osobno.

Dobrze — zgadza się pogodnie Leszek. Pani posadziła go koło piaskownicy. Leszek zanurzył od razu w piasku obie ręce. Ale piasek zwykle uprzejmy, usłużnie formujący się w różne wymagane od niego kształty, tym razem jest zimny i obcy. A dzieci wędrują dalej w takt muzyki, przechodzą tanecznymi krokami obok piaskownicy i Leszka i idą do drugiego pokoju. Przez otwarte drzwi widzi Leszek zwijające się i rozwijające barwne węże i słyszy wesołą piosenkę śpiewaną wielu radosnymi głosami. A on tu sam, sam w sobie tylko i ten obcy piasek.

Nagle odczuwa, że mu jest źle i bardzo nie lubi tego piasku. Szybkim, zdecydowanym krokiem podchodzi do pani i przyrzeka lekkomyślnie: Będę grzeczny. Będziesz? Napewno? No, to chodźmy do drugiej pani. Nie będziesz bił dzieci? Nie, z rozmachem przeczy płowa czupryna. Bo to tak Leszku. Ty jesteś dobry i grzeczny, tylko rączki ciebie nie słuchają, musisz je dobrze pilnować. Po wrażliwej twarzyczce dziecka przebiegają dwie myśli. Jedna o sekundę wyprzedza drugą i niedokończona ustępuje jej miejsca. Łobuzerski uśmiech zamienia się w gorliwe, pełne zapału potwierdzenie. No, pewno, że on jest grzeczny, tylko te ręce. Dobrze! Obiecuje krótko i po rycersku. Odtąd zaczyna pilnować swoich zbójeckich rączek. Zaciska je mocno w piąstki, więzi w kieszeniach fartuszka, lub przysiada boleśnie na krzeselku. A rączki tak chciałyby palnąć kolegę. Ale Leszek im nie pozwala, nie. Natomiast popada w drugą krańcowość. Obejmuje towarzyszy i czule ich całuje, bo nie chce bić. Dzieci zdumione taką odmianą i niespodziewaną czułością, poddają się jej z zawstydzeniem i uprzejmą rezygnacją.

Ale to trwa niedługo. Fala czułości opada i Leszek bawi się podobnie jak inne dzieci. Ręce go już słuchają, zajęły się lepieniem z plasteliny, potem budowaniem potężnych budowli z klocków.

Ale teraz wystąpiły nogi. Raz jedna, raz druga podstawia się na drodze biegnącym dzieciom, które

potykają się lub upadają. — Znowu noga cię nie
słucha! — zauważa mimochodem, ale znacząco pani.
Leszek czerwienieje, przycicha i niknie.

Gdzie Leszek? Szukają niespokojnie oczy pani.
Leszek siedzi w kąciку na małym krzeselku i bije
piąstkami swoją złą, nieposłuszną nogę...

JANECZKA zauważyła, że chłopcy w przedszkolu nie chcą się bawić z dziewczynkami. I ona także nie będzie się bawić z chłopcami, chociaż w domu bawi się z małym sąsiadem Waciem.

Zbyszek nie ma kogo wziąć sobie za konia, podbiega do Janeczki i mówi: Chodź, chcesz, to będziesz koniem.

Janeczka patrzy na niego niechętnie.

— Idź sobie do chłopców, ja nie będę konikiem.

— Ho, ho, to dobrze, jak nie, to nie. Ja myślałem, że ty się bawisz, popatrz, że Wiśka to się bawi czasem w konia.

Teraz Janeczka poważnie odpowiada:

— Pewnie, że się bawię, ale w domu z Waciem, bo on jest malutki, nie ma się z kim bawić, a z tobą nie będę, bo nie chcę.

Zbyszek poszedł szukać sobie konia wśród chłopców.

Raz podczas śniadania Jędrus usiadł naprzeciwko Janeczki.

Janeczka patrzy chwilę na niego, a potem mówi:

— Ja już nigdy nie usiądę koło Jędrusia, bo on kiedyś pokazał mi język.

Czy Jędrus wyczuł tę groźbę, bo jakby z przekorą przenosi swoją serwetkę do stolika Janeczki.

— Ja tu będę siedział, bo tam mi się przykrzy samemu.

— A ja ciebie nie chcę, bo cię nie lubię, czego mi pokazujesz język?

— Ja już nie będę tak robił — odpowiada ustepliwie Jędrus.

— No to możesz teraz siedzieć sobie, tylko cicho, a jak nie, to pójdziesz zaraz do tamtego stołu.

Jędrus czuje się winnym, więc przyjmuje spokojnie wyrok Janeczki, która ma różową buzię jak lalka i takie świetliste oczy.

— Nie, nie będę — przyrzeka krzykliwie, żeby chociaż głosem ratować swą godność i szybko wkłada do buzi ostatni kawałek jabłuszka.

HENIO odsunął sobie dużą część piasku w jednym kącie piaskownicy i mocno uklepał ją łopatką. Z drugiej strony dwaj inni chłopcy budowali fortecę. Piasku do niej mieli za mało i zabrali go od Henia. Bronił się trochę, mówił, że to jego piasek i jego łopatką, ale tamci go nie słuchali zabrali mu piasek, bo forteca musiała być skończona i już.

Duże smutne oczy Henia zasłży mgłą, ale nie płakał, usta zacisnął w wąską szparkę i odszedł od piaskownicy pod okno. Jest mizerny i słaby i dzieci często odsuwają go od zabawy lub wyprzedzają w niej. Ale dzisiaj z tym piaskiem to już za dużo...

Stoi Henio koło okna i długo patrzy na płatki śniegu spadające cicho poza szybami.

A w południe przysłała po niego do przedszkola ciocia.

— Spóźniła się ciocia, mówi jej Henio.

— Ależ nie, Heneczku, przyszałam o pierwszej, jak zwykle.

— E! — krzyczy Henio — już późno, ciocia zawsze późno przychodzi!

Ciocia jest młodą i łagodną panią, nie od-

powiada nic tylko układa pod czapeczką falujące
loki Henia.

— Nie! proszę mi dać spokój — wyrывa się
z jej rąk chłopiec.

W domu po obiedzie Henio chce malować,
ale nie może znaleźć swojego pudełka z farbami.

— Przecież powinno być w jadalni i niema go.

— Ależ nie — mówi mu mama — poszukaj
dobrze w kredensie, napewno jest.

Henio patrzy ostro i mówi gwałtownie:

— Mówię, że nie, i się pogniewam i się po-
kłóczę i nie będę się odzywał wkońcu, bo ja nie lu-
bię, bo ja nienawidzę, jak mi kto mówi nie, jak ja
mówię tak.

— Heneczku, co ci się stało, tak się brzydko
gniewasz, nie ocieraj rąk o fartuszek, bo cały po-
brudzisz.

— Mogę brudzić — mówi Henio — i tak nie
będę prał.

— Heniu, Heneczku, co to wszystko znaczy!?

— Tak, bo zły jestem, zły, zły, i będę, zawsze
będę zły...

DZIECI w przedszkolu dostały konia, który niespodziewanie wjechał na środek sali i wzbudził sensację. — Na małą chwilkę wszystkie oniemiały, ażeby potem krzyknąć rozgłośnie i rzucić się na nową zabawkę. — Oleś zdumiał się również na widok tego dużego konia. Otworzył buzię i patrzy. Spojrzał w stronę Tereni i Leszka, czy oni też widzą. Wszyscy podziwiają konia i otoczyli go ciasnem kołem. Oleś tam się docisnąć nie może, takie ma słabe rączki i boi się dzieci.

Macha zatem rączką i mówi:

— Ja mam w domu jeszcze ładniejszego konia tylko, że mój ma szablę i jest nakręcany.

Zbyszek pierwszy usiadł na siodło i Olesiowi udało się wreszcie zbliżyć do konia. Dotknął siodelka, ujął za grzywę, ale napór dzieci odrzuca go nabok. Usiłuje zatrzymać zdobytą pozycję i woła:

— Tak się pchacie, nie puszczę, ja tutaj byłem...

Ale czuje, że nie utrzyma się dłużej na miejscu. Jest już prawie zepchnięty. Zdołał jeszcze wyrwać jeden włos z głowy konia i tą zdobyczą ratuje swój honor.

— O, mam konia, kawałek konia — woła i podnosi włos do góry.

A potem szepce cichutko:

— Ja chcę pojechać na koniu, ja, ja...

A tymczasem znowu inny zdobywca jedzie konno. — Oleś trochę się zasmucił, przez twarz przeleciał mu stary cień. Lecz trwało to krótko.. dalej do czynu.. Zaczął przepychać się do konia. Ujął go za uzdę i woła:

— Uciekajcie! uciekajcie! Kasztan.

Popycha Zbyszka, ale ten powalił go na ziemię.

Teraz pojawiły mu się łzy w oczach. Usiadł zboku na krzeselku i ma gniewliwą złość w sercu. Źle mu jest, krzywdzą go, więc i on będzie zły. Trąca spokojnie przechodzące dzieci, odpycha je i uderza ręką. — I jeszcze raz wraca do konia. Zrywa się z krzeselka, pędzi i obu rękami odrywa dzieci od konia, przybliża się do jego głowy przytula się do niej i mocno, mocno całuje.

— Ładny, o ładny.

Lecz znowu odtrącono go od konia...

JEDNEGO dnia za mamą posługaczką wtoczyła się do pokoju jej mała trzechletnia córeczka.

— Co to za dziecko — pyta zdumiona pani.

— A to moja Lusia. Przywiozła ją wczoraj ta kobieta ze wsi, u której była, bo nie płaciłam jej za nią, postawiła mi ją bosą i prawie obdartą pod drzwiami. Ledwie dziecko rozgrzałam, tak się trzęsła z zimna. A teraz nie mam jej przy kim zostawić, więc prowadzę ze sobą na posługi.

Siedź tutaj, Lusi, na stołku i nie ruszaj się, jak ja będę sprzątać. — Lusia zjadła śniadanie i kręci się niespokojnie na krześle.

Siedź cicho, mówię ci! nakazuje jej matka.

Ale pani wstaje od biurka i zestawia dziecko z wysokiego krzesła na ziemię. Teraz Lusia chodzi po całym pokoju i rusza wszystko, w rękę ma kawałek bulki, z której okruszyny spadają na świeżo wytartą przez matkę posadzkę.

Obie z matką rozmawiają ze sobą.

— Pocoś tu przyszła? — mówi matka — nie potrzebuję cię na nic.

Niepotrzebne dziecko, może i kochane, ale niepotrzebne, a raczej zbyteczne.

Mąż posługaczki umarł przed dwoma laty i zostawił jej dwoje dzieci. Starszy, sześćioletni Tadzio jest w zakładzie dla sierot i już nie sprawia matce kłopotu, a nawet przynosi zaszczyt, bo go tam chwalą, że jest grzeczny i że się dobrze uczy.

Ale ta Lusia jest niepotrzebna i uciążliwa...

— A nie dałam ci wczoraj pieniądza? — zapytuje w odpowiedzi na szept matki pełnym głosem dziecko.

Bo wczoraj dostało od jednej pani dziesięć groszy i zaraz dało je matce i teraz chce się tem przypomnieniem wkupić w jej łaski, zyskać przywilej do życia, okazać potrzebną.

Matka już nie odpowiada, ze spuszczoną głową czyści buciki. Prawda, dziecko dało jej «tego pieniądza» wczoraj.

A Lusia wyczuwszy swoją chwilową przewagę, posuwa się dalej i macza obie łapki w misce z ciepłą wodą przygotowaną do mycia naczyń. Matka porywa się gwałtownie z nad podłogi, chwytą dziecko i sadza je z impetem spowrotem na krzesło, z którego samo zejść nie może.

Dziecko przerażone ruchami i rozgniewaną twarzą matki, krzywi się i otwiera usta szeroko i charakterystycznie, z oczu płyną mu łzy. Zdaje się, że już, już z ust tych wyleci przeraźliwy krzyk. Już już, pełno go w całym pokoju, odbija się od sufitu i ścian...

Dziecko krzywi się jeszcze więcej, zanosi się od

płaczu ale... bez krzyku. Z oczu płyną mu łzy, marszczy czoło i otwiera usta, ale krzyk z nich nie wylatuje.

Gdzie się podział krzyk dziecka?!

Krzyk przepadł...

Zaniknął z przerażenia, z obawy przed ludźmi, przed tą «babą» na wsi, u której dziecko się cho-
wało, a której matka nie posyłała pieniędzy.

W dużym trzcinowym fotelu siedzi mała, tra-
gicznie skrzywiona osóбка i płacze bez krzyku,
który jest najsilniejszą bronią dzieci, a powodem
paniki dorosłych. Krzyk przepadł...

Pani zdumiona patrzy smutnie na dziecko.

— Ona tak zawsze — objaśnia ją spokojnie
matka.

ZBYSZEK siedzi sam na dużym balkonie, oparł głowę o balustradę i spogląda w stronę pustego pokoju. Pokój jest przeważnie pusty, bo rodzice wracają dopiero wieczorem po pracy w biurze. Za tym pokojem jest drugi, a dalej kuchnia, w której gospodaruje gderliwa Marysia.

Zbyszek nie chodzi jeszcze do szkoły i całe dnie spędza sam w domu z Marysią, która mówi do niego głosem zawsze podniesionym i takim samym głosem on jej odpowiada.

Wczoraj był w cyrku z tatusiem i teraz ciągle myśli o tem, jak to tam było. Oparł głowę o balustradę ganku i opowiada o cyrku. Komu opowiada, kiedy niema przy nim nikogo? Dlaczego nie patrzy na szeroko otwarty przed balkonem widok, tylko w stronę pokoju? Ale czy patrzy? — Oczywiście ma napół przymknięte i jakby niewidzące.

— No i wie pani — mówi — tam w cyrku to jeden mały chłopiec podniósł swojego ojca i brata. Sam jeden ich podniósł. A jeden taki to leżał na szkle i nic mu się nie stało.

Fantastyczna pani cierpliwie słucha Zbyszka który chwilami przycicha, aby potem opowiadać

z jeszcze większym zapalem. Aż wreszcie znużony głos dziecka milknie całkowicie i fantastyczna pani gdzieś przepada, Zbyszek zostaje sam na balkonie.

Zdołu dolatują go energiczne głosy bawiących się dzieci, które z gliny robią szosy i szanice. Zbyszek nie może zejść do nich, ponieważ rodzice nie pozwalają mu samemu wychodzić. Patrzy tęsknie na zabawę dzieci.

— Leszek! Leszek! Leszek! Coś ci powiem — woła bezskutecznie.

Nie udaje mu się na siebie zwrócić uwagi dzieci. Balkon jest na drugim piętrze, a on jest taki mały i głos ma nikły. — Pluje wdół, ale i to nie pomaga.

— Leszek, ciocia cię woła, chodź zaraz!

To nie on, Zbyszek, go woła, tylko ciocia, a zatem Leszek powinien teraz przestać się bawić i zainteresować się tem wołaniem. Ale Leszek nalewa właśnie wodę do rowu wykopanego wokół kopca i nie odwraca nawet głowy w stronę Zbyszka.

Wówczas Zbyszek zwraca się w stronę pustego pokoju i mówi, rozkładając ręce bezradnie.

— Proszę Pani, powiedział, że nie przyjdzie.



M 42094/1

UP - Kraków BG



1050152539

